POWIEŚĆ AUTORKI NAGRODZONEGO PULITZEREM
DEMONA COPPERHEADA

LATO MARNOTRAWNYCH

BARBARA KINGSOLVER

PRZEŁOŻYŁA HANNA BELICZYŃSKA

FILIA

LATO MARNOTRAWNYCH

BARBARA KINGSOLVER

przełożyła Hanna Beliczyńska

FILIA

Dedykuję Stevenowi, Camille i Lily
oraz dzikiej przyrodzie,
gdziekolwiek jeszcze taka jest

Podziękowania

Książka ta wyrosła z ziemi obficie błogosławionej przez moich przyjaciół i sąsiadów z Wirginii. Szczególnie jestem wdzięczna Necie Findley, jej nieżyjącemu już mężowi Billowi i ich synowi Joe za okazaną mi przyjaźń, za opowieści i poczucie humoru, które wzbogaciły moje życie i tę powieść. W tym przedsięwzięciu ma również swój udział Fred Hebard z American Chestnut Foundation, który udzielił mi wielkiej pomocy i przekazał wiedzę na temat drzew; program fundacji mający na celu zwiększenie populacji kasztana amerykańskiego jest oczywiście bardziej planowo i fachowo przeprowadzany niż ten, który stworzyłam dla tej powieści – pewnego dnia amerykańskie lasy znowu będą porośnięte tymi kasztanowcami. Dziękuję również wam, Dayle, Paige i Kyla – rodzino naszej rodziny. Jestem wdzięczna Jimowi i Pam Watsonom za przejażdżki, dowcip i dobrą wolę; pannie Amy – za spokój ducha; tobie, Randy Lowe – za dobre rady; oraz Cooperative Extension Service – za odpowiedzi na być może najdziwniejsze pytania, jakie im kiedykolwiek zadano. Bill Kittrell, pracownik Nature Conservancy, udostępnił mi wiele wartościowych informacji i spostrzeżeń, podobnie jak Braven Beaty, Kristy Clark, Steve Lindeman i Claiborne Woodall. Nie mogę nie wspomnieć tu o zaciągniętym na całe życie długu u Felicii Mitchell za jej przyjaźń i wprowadzenie mnie w poezję wyprzedaży podwórkowych, a szczególnie za zabranie mnie na farmę tego pierwszego wieczora, kiedy mało brakowało, żebym tam nie dotarła.

Jestem wdzięczna tak wielkiej liczbie przyjaciół i znajomych, że trudno byłoby wymienić ich tu wszystkich po imieniu, ale wspomnę o kilku. Są to szczególnie: Emma Hardesty – dzięki za lata naszego

życia; Terry Karten – za wiarę w literaturę bez względu na wszystko; Jane Beirn – dziękuję za ułatwienie mi kontaktu z szerszą publicznością; Walter Thabit – za lekcje arabskiego; Frances Goldin – za przepisy kulinarne, składnię jidysz, niezawodny instynkt, bezwarunkową miłość i dużo więcej, niż można wyrazić słowami. Jestem wdzięczna rodzinie Aarona Kramera, która wspaniałomyślnie umożliwiła mi zacytowanie niezwykłego wiersza Aarona *Epitalamium* ze zbioru *The Thunder of the Grass* (International Publishers, New York); odkrywając piękno i rozmach pracy jego życia jako pisarza z pasją i sumieniem społecznym, poczułam, że znalazłam bratnią duszę. Podziękowania zechcą przyjąć: Chris Cokinos – za piękną książkę *Hope Is the Thing with Feathers;* Carrie Newcomer – za niewidzialne nitki; W.D. Hamilton – za odwagę i bystrość; Edward O. Wilson – też za te rzeczy, ale i za oddanie. Dan Papaj zwrócił moją uwagę na wspaniałe tajniki łuskoskrzydłych i pomógł rozwiązać inne zagadnienia. Także Robert Pyle pomógł mi odpowiedzieć na pytania dotyczące motyli i ciem. Z artykułu Mike'a Finkela *The Ultimate Survivor* („Audubon", maj–czerwiec 1999) dowiedziałam się o nowym punkcie widzenia na temat kojotów. Paul Mirocha zamienił moje mgliste sugestie na graficzny wygląd wyklejki w sztukę [w oryginale]. Serdeczne podziękowania za komentarze, w różnych fazach powstawania, do mojego rękopisu, niech przyjmą: Steven Hopp, Emma Hardesty, Frances Goldin, Sydelle Kramer, Terry Karten, Fenton Johnson, Fred Hebard, Felicia Mitchell, i dziękuję za entuzjazm pracownikom wydawnictwa HarperCollins – to wszystko bardzo mi pomogło. Jeśli mimo tych ekspertyz pojawiły się w mojej książce błędy merytoryczne, stało się to wyłącznie z mojej winy.

Stwierdzam z przekonaniem, że szczególny sposób patrzenia na świat – zatopiony głęboko w zielonej roślinności – zawdzięczam swoim rodzicom, dzięki którym wychowałam się w takim miejscu – między farmami i dziką przyrodą. Jak również mojemu bratu Robowi, nauczycielowi i współkonspiratorowi w łapaniu węży i tropieniu śladów. Moja siostra Ann tak otworzyła swoją duszę, by mnie wspierać,

że można to porównać do rozłożonych skrzydeł. Moje córki, Camille i Lily, są takimi ekspertkami w świecie radości, wdzięku i cudów, że codziennie zanurzają mnie w nowej rzeczywistości. Dziękuję Stevenowi, którego doskonałe ucho i pewna ręka zawsze mi towarzyszyły podczas pisania tej książki, jak dzieje się przez całe nasze wspólne życie. Jestem wdzięczna losowi za wybór partnera i trudno mi uwierzyć w moje szczęście.

Epitalamium

Przyjdźcie tu wszyscy niezaspokojeni,
jak władca w samotnym gabinecie –
nieme ptaki, sztuczne kwiaty na tapecie,
szafy pełne umarłych snów i cieni!

Chodźcie, stare ulice uprzątniemy,
gdy narzeczona zwiędłe liście zmiecie,
czekając jego, co wiosną przyleci,
tak i my go czekamy utęsknieni

Wymiećmy cienie szczurami zarosłe,
z serc usuńmy rozpacze, co wstydem nas ranią
– przystrojoną kwiatami, witającą wiosnę
łożnicę małżeńską uczyńmy przystanią.
Gdy on przyjdzie nieme ptaki zaczną piosnkę,
gdy on przyjdzie, zgasłe sny zmartwychwstaną!

Aaron Kramer

ROZDZIAŁ I

DRAPIEŻNIKI

Poruszała się ze swobodą ruchów, jakiej nabiera się, żyjąc samotnie na odludziu. Ale pojęcie samotności jest tylko ludzkim przeświadczeniem. Każdy jej cichy krok był jak grom dla owadów żyjących pod stopami. Każdy wybór zmienia świat wokół. Wszystkie tajemnice mają świadków.

Gdyby ktoś ją teraz obserwował – na przykład ukryty w lesie myśliwy – zobaczyłby, jak szybkim krokiem podąża po wznoszącej się ścieżce i złowrogo patrzy pod stopy, mógłby pomyśleć, że jest to rozzłoszczona kobieta, która tropi coś nienawistnego.

Ale by się pomylił. To prawda, była sfrustrowana, lecz tylko dlatego, że tropiła w błocie ślady zwierzęcia, którego nie potrafiła zidentyfikować, a przywykła do tego, że zawsze była pewna. Gdyby jednak zadała sobie trud, by zbadać stan swego umysłu w ten wilgotny, słoneczny poranek, mogłaby stwierdzić, że jest szczęśliwa. Uwielbiała powietrze po ulewnym deszczu i odgłos spadających liści, wypełniający las szumem, jak dźwięk metalowej miotełki uderzającej o talerze perkusji, który sprawiał, że głowa pustoszała ze słów. Jej ciało podążało według własnych, niczym nieskrępowanych zasad; długie nogi poruszały się tak szybko, że trudno byłoby jej dotrzymać kroku. Co jakiś czas przykucała na ścieżce i badała odbite na listowiu zwierzęce ślady. Za każdym razem, kiedy się schylała, warkocz gruby jak jej ręka spadał przez ramię i dotykał ziemi. Jej ciało odczuwało przyjemność z poruszania się na otwartej przestrzeni, na zewnątrz ciasnej chaty, której drewniane ściany wskutek długotrwałych wiosennych opadów

obrosły mchem i nieco się pochyliły. Zmarszczone brwi były jedynie wyrazem pełnego skupienia. Dwa lata życia w odosobnieniu sprawiły, że – jak osoba niewidoma – kompletnie zobojętniała na wygląd swej twarzy.

Przez cały poranek podążała śladami zwierzęcia ścieżką w górę, zręcznie omijając rododendrony, i teraz wchodziła w stary las, który nie został wycięty tylko dzięki temu, że rósł na bardzo stromym zboczu. Ulewny deszcz ostatniej nocy przedarł się przez gałęzie i zmył ślady nawet tu, na wierzchołku wzgórza osłoniętego baldachimem z konarów hikory. Z odcisków na lśniących berberysach porastających poszycie leśne wywnioskowała, jakiej wielkości mogło być zwierzę, i serce jej mocniej zabiło. Czyżby znalazła to, czego szukała od dwóch lat? Do całkowitej pewności brakowało jednak kilku szczegółów, zwłaszcza prawie niedostrzegalnych śladów pazurów spoza poduszki łapy, które odróżniają zwierzęta rodziny kotowatych od rodziny psowatych. Deszcz w pierwszej kolejności zmył właśnie te nikłe ślady i mimo usilnych starań nie mogła nic dostrzec. Zdała sobie sprawę, że poza odciskami łap musi poszukać innych znaków pozostawionych przez zwierzę, ale była wytrwałym tropicielem i nie martwiło jej to w ten cudowny niczym w raju wilgotny poranek. Niewykluczone, że pozostały jakieś odchody zwierzęcia (co też mógł rozmyć deszcz) lub inny znak charakterystyczny dla tego gatunku. Niedźwiedzie zostawiają ślady pazurów na korze drzew, czasami nawet ją nadgryzają – nie był to zatem niedźwiedź. Stworzenie miało rozmiary owczarka niemieckiego, ale z pewnością nie było to zwierzę domowe. Jeśli byłyby to ślady psa, w tym lesie i w taką pogodę mógł być to tylko dziki i wygłodniały pies.

Doszła do miejsca, w którym ślady wskazywały, że zwierzę okrążyło pień kasztana, prawdopodobnie po to, by zaznaczyć go swym zapachem. Dokładnie obejrzała pień. Był to stary, poszarpany olbrzym, próchniejący od czasu swej śmierci przez ścięcie siekierą lub zarażenie grzybem *Endothia parasitica.* Ten zmurszały pień stał się podłożem dla muchomorów, których delikatne kapelusze w jaskrawopomarańczowym kolorze wyglądały jak otwarte parasole. Zapewne ulewa

zniszczyłaby te delikatne twory, musiały zatem wyrosnąć kilka godzin po deszczu, pobudzone amoniakiem z odchodów wcześniej przechodzącego tędy zwierzęcia. Badała to miejsce przez dłuższy czas, nieświadoma swego uroczego profilu, kształtu nosa i brody ani ruchów lewej ręki, którą odgarniała włosy opadające na oczy i opędzała się od komarów. Co jakiś czas przykucała obok pnia, podpierając się na mchu czubkami palców, by utrzymać równowagę, i przybliżała twarz do spróchniałego drzewa. Obwąchiwała go.

– Kot – powiedziała do siebie spokojnie. Nie jego miała nadzieję tu znaleźć, ale mimo wszystko to przyjemna niespodzianka odkryć na tym wzgórzu ślady rysia. Pomyślała, że te góry, pokryte mokradłami i porośnięte lasem, mogą być doskonałym miejscem do życia dla zwierząt z rodziny kotowatych, chociaż one najczęściej zamieszkują wapienne klifowe brzegi rzeki wzdłuż granicy stanów Wirginia i Kentucky. A tymczasem na jednego natrafiła tutaj. To tłumaczyło płaczliwe zawodzenie, które słyszała dwie noce temu. Był to rozlegający się w deszczu przejmujący lament, przypominał krzyk kobiety. Wiedziała przecież, że to ryś, ale ten odgłos nie pozwalał jej zasnąć. Nie ma człowieka, którego nie poruszyłby dźwięk brzmiący jak odgłos ludzkiego cierpienia. Na to wspomnienie wstrząsnął nią dreszcz. Zachwiała się, podparła rękami i wstała.

Zobaczyła go. Stał i patrzył na nią. Miał na sobie wysokie buty, panterkę i plecak większy niż jej. Jego strzelba nie była zabawką, wyglądała jak podwójna trzydziestka. Zanim zapanowała nad sobą, na jej twarzy z pewnością pojawiło się zdziwienie. Czasami spotykała tu myśliwych, ale to zawsze ona pierwsza ich zauważała. Natomiast ten miał nad nią przewagę. To on ją obserwował.

– Eddie Bondo – odezwał się, dotykając palcami ronda kapelusza. Dopiero po chwili zorientowała się, o co chodzi.

– Słucham?

– Tak się nazywam.

– Wielkie nieba – powiedziała, w końcu panując nad oddechem. – Nie pytałam o twoje nazwisko.

– Mimo wszystko powinnaś je znać.

„Nadęty zarozumialec", pomyślała. „A właściwie naładowany. Jak strzelba, gotowy wypalić".

– Po co mi twoje nazwisko? Chcesz opowiedzieć historię, którą będę później powtarzać? – zapytała spokojnie. Tej taktyki nauczyła się od ojca, a właściwie tak postępowali tu wszyscy – zachować spokój w momencie największego zdenerwowania.

– Tego nie powiedziałem. Ale na pewno nie gryzę. – Uśmiechnął się przepraszająco. Był od niej młodszy. Lewą rękę trzymał na ramieniu i czubkami palców gładził lufę strzelby. – Poza tym nie strzelam do kobiet.

– To dobra wiadomość.

Słowo „gryzę" wymówił z północnym akcentem. Intruz z dalekich stron, który zawadza tu jak kudzu – pnący półkrzew. Niezbyt wysoki, ale muskularny, co widać było nawet przez ubranie oraz po jego nadgarstkach, karku – w całej posturze; miał taką budowę, jakby nieustannie był gotów do działania, tak że nawet w stanie spoczynku wydawał się napięty.

– Widziałem, że wąchałaś pień – powiedział.

– Prawda.

– Masz jakiś szczególny powód?

– Tak.

– Zdradzisz go?

– Nie.

Ponownie zapanowała cisza. Patrzyła na jego ręce, ale w rzeczywistości przyciągał ją błysk w jego ciemnozielonych oczach. Przypatrywał się jej, tak jakby zainteresowała go wymowa samogłosek w tutejszym dialekcie, w jej tajemniczych „tak" i „nie". Nagle jego usta wykrzywiły się nad prostokątną szczęką i na twarzy pojawiło się zdziwienie. Nigdy przedtem nie widziała twarzy tak przykuwającej uwagę jak ta.

– Nie jesteś zbyt rozmowna – zauważył. – Większość dziewcząt, które znam, trajkocze przez pół dnia o tym, czego jeszcze nie zrobiły i do czego nie mogą się zabrać.

– Chyba jestem inna niż twoje znajome.

Zastanawiała się, czy go uraziła. Nie miała broni, on miał, aczkolwiek powiedział, że nie będzie strzelał ani gryzł. Stali w milczeniu.

Odmierzała tę ciszę przesuwającymi się obłokami i trelami rudego drozdka, który nagle wynurzył się z konarów i zawisł w powietrzu między nią i nieznajomym – jej ofiarą? Nie, raczej intruzem, który wkroczył na jej terytorium. Drapieżnikiem – byłoby zbyt mocnym określeniem.

– Masz coś przeciwko temu, że przez jakiś czas będę ci towarzyszył? – zapytał uprzejmie.

– Tak – warknęła. – Zupełnie nie mam na to ochoty.

Kim on właściwie był, mężczyzną czy chłopcem? Nagle przestał się uśmiechać i wyglądał, jakby zraniło go jej szorstkie zachowanie, jak syn złajany przez matkę. Zastanawiała się, jaki przybrać ton, żeby wybrnąć z tej sytuacji. Doskonale radziła sobie z myśliwymi, którzy zapominali, kiedy kończy się sezon na jelenie – to była jej praca. Ale zazwyczaj tylko o tym z nimi rozmawiała. Wiedziała, że dobre maniery nie były jej mocną stroną nawet wtedy, kiedy żyła w eleganckim domu, zgrabnie umieszczona między mężem i sąsiadami. Palcami odgarnęła do tyłu opadające jej na twarz długie, brązowe, przyprószone siwizną włosy i wplotła palce w warkocz.

– Tropię zwierzę – powiedziała spokojnie. – A jeśli jesteś myśliwym, to dobrze wiesz, że dwie osoby robią więcej hałasu niż jedna.

– Nie masz strzelby.

– Jak widać. W końcu jesteśmy na terenie Państwowego Parku Leśnego, gdzie polowanie jest zabronione.

– Prawda – przytaknął Eddie Bondo. – To wszystko wyjaśnia.

– Powinno.

Nie ruszał się z miejsca i przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem. Wystarczająco długo, żeby zrozumiała, że Eddie Bondo to nie chłopak, lecz mężczyzna. Czuła, jak rozbiera ją wzrokiem, ściągając z niej kolejne warstwy ubrania, a potem ponownie je nakłada, w odpowiednim porządku. Ciemnozielona kurtka z nylonu i goreteksu to służbowe ubranie pracowników Parku Leśnego, a bawełniane spodnie i jedwabne termiczne kalesony były jej. Nie miała pojęcia, co pod tym wszystkim może być interesującego dla faceta. Dawno nikt tego nie widział.

Nieoczekiwanie odszedł. I chociaż wśród konarów drzew nadal rozbrzmiewał śpiew ptaków, powietrze nagle stało się głuche i puste.

Zniknął między rododendronami i nie było żadnych powodów, by myśleć, że kiedykolwiek tu był.

Pozostawił po sobie jedynie płonący na jej szyi rumieniec.

*

Kiedy kładła się spać, jej myślami całkowicie zawładnął Eddie Bondo. Rano obudziła się z pistoletem służbowym schowanym za paskiem. Właściwie powinna go zawsze mieć przy sobie, dla obrony przy ewentualnym spotkaniu z niedźwiedziem. Uważała, że jest w tym trochę racji.

Od dwóch dni widziała go wszędzie – o zmroku przed sobą na ścieżce, w chacie na tle świecącego za oknem księżyca, w snach. Pierwszego wieczora próbowała się oszukać i zagłębić w lekturze, ale już po chwili starannie się myła gąbką i mydłem, którego zazwyczaj nie używała, ponieważ dla jeleni i innych zwierząt był to jedyny ludzki zapach, jaki znały od myśliwych – czyli była to woń napastnika. Przez dwie noce budziła się zlana potem, zaniepokojona dzikimi, stłumionymi odgłosami nietoperzy parzących się w cieniu okapu werandy. Ich agresywna kopulacja była jak konfrontacja nieznajomych.

Teraz znowu go spotkała w pełnym świetle dnia, obok pnia kasztana, w tym samym miejscu, gdzie poprzednio. Tym razem był bez broni, miał tylko plecak. Natomiast ona miała naładowany, zabezpieczony, ukryty pod kurtką pistolet.

Jak wtedy, kucała przy pniu i badała ślady, ale tym razem była pewna, że jest na tropie tego, czego szukała. Niewątpliwie były to ślady zwierzęcia z rodziny psowatych. Prawdopodobnie samicy, której jamę odkryła dwa tygodnie temu. Samiec czy samica, zwierzę to na pewno zatrzymało się przy tym pniu, może zaintrygowane lub zaniepokojone śladami rysia, a może nie. Jakie miało powody, trudno odgadnąć człowiekowi.

Stał jak wtedy i uśmiechał się do niej – jakby jej kucanie i podnoszenie się wokół pnia wyczarowało Eddiego Bondo, jakby powstał z nagłego uderzenia krwi do głowy.

– To ty – powiedział. – Inna od wszystkich dziewcząt, jakie znam.

Serce biło jej tak głośno, że zagłuszało jego słowa.

– Wydaje się, że jestem jedyną, jaką znasz, jeśli przez cały czas kręcisz się na terenie Leśnego Parku Zebulon. A widzę, że tak właśnie jest.

Tym razem nie miał kapelusza, jego czarna rozczochrana czupryna sprawiała, że wyglądał jak wrona podczas mglistej, deszczowej pogody. Zazdrościła mu trochę grubych, błyszczących, prostych włosów, które swobodnie się układały i na pewno nigdy się nie kręciły. Rozłożył ręce.

– Popatrz, kobieto, strażniczko lasu. Nie mam strzelby. Widzisz przed sobą przyzwoitego mężczyznę, który przestrzega prawa.

– To prawda.

– To więcej, niż ja mogę powiedzieć o tobie – dodał. – Obwąchujesz pnie.

– Nie roszczę sobie prawa do powiedzenia o sobie, że jestem przyzwoita czy też że jestem mężczyzną.

Jego promienny uśmiech nieco zbladł.

– To widać – stwierdził.

„Nic mi nie grozi, mam przy sobie broń", kiedy tak pomyślała, wiedziała, że teraz ma nad nim przewagę. Wrócił. Zmusiła go siłą woli, by ponownie pojawił się w tym miejscu. Tym razem go zatrzyma. Milczał przez minutę, a może kilka. W końcu się poddał.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co?

– Że cię niepokoję. Chciałbym ci dzisiaj przez jakiś czas towarzyszyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Nie dawało mi to spać w nocy. Zastanawiałem się, co taka urocza kobieta jak ty obwąchuje w tym wielkim starym lesie?

Czyli myślał o niej. Nocą.

– Nie jestem Czerwonym Kapturkiem, jeśli to cię niepokoi. Jestem dwa razy starsza od ciebie. – „Dwa razy starsza", tak powiedziała. Ten dawno zapomniany zwyczaj prostych farmerów z gór w Stanach Południowych zakradł się do jej nieumiejętnej konwersacji.

– Nie wierzę – wyznał.

Lato marnotrawnych to opowieść o pewnym parnym lecie, podczas którego splatają się trzy różne historie ludzi zamieszkujących zalesione góry Appalachów i próbujących zmierzyć się z zupełnie nową, nieznaną dotąd rzeczywistością.

Ze swojego posterunku w odosobnionej górskiej chatce Deanna Wolfe, biolożka i naukowczyni, obserwuje legowisko kojotów, które niedawno pojawiły się w okolicy. Jej uporządkowane samotne życie zostaje zakłócone przez młodego myśliwego, który wkracza w jej najbardziej prywatną przestrzeń.

Na farmie kilka mil dalej potomkini polskiego emigranta, Lusa Maluf Landowski, prowadząca dotąd miejskie życie, zostaje żoną farmera i musi zdecydować, czy na stałe związać się z ziemią, która niespodziewanie stała się jej własnością.

Jeszcze kilka mil dalej para starszych, skłóconych sąsiadów dogląda swoich farm, spierając się o Boga, pestycydy i przyszłość.

***Lato marnotrawnych* to jedna z najlepszych książek Barbary Kingsolver, która w charakterystyczny dla siebie sposób ukazuje równowagę wartkiej narracji, dramatu i idei.**

CENA: 79,90 ZŁ
ISBN 978-83-8402-427-0
9 788384 024270

FILIA
Literacka